

Ironiści mimo woli

9 lipca 2019

Dobrosława ma niepełnosprawne dziecko, które wychowuje samotnie. Jest bardzo dobrą pracowniczką – sumienną, rzetelną – ale potrzebuje pewnej swobody organizowania sobie czasu pracy. Są takie dni, gdy musi zawieźć córeczkę na rehabilitację i potem ją stamtąd odebrać. Spóźnienie chętnie odpracowałaby innego dnia. Opowiedziała o tym swojej szefowej, Dobromile, ale, oprócz zapewnienia, że na pewno się problemowi przyjrzy, nie osiągnęła żadnego widocznego efektu. Mijały miesiące, świat nie stawał się miejscem dogodniejszym do życia dla osób z niepełnosprawnymi dziećmi. Dobrosława zdecydowała, że pora zaprosić szefową na obiad, przedstawić jej małą Dobrochnę, może to wywoła w niej ludzki odruch. Tak zrobiła. Spędziły we trzy sympatycznie czas. Dobromiła była głęboko poruszona sytuacją Dobrosławy i Dobrochny. Od tej pory zawsze starała się uzgadniać z nią czas pracy indywidualnie i dbała o to, by nie „wrzucano” jej zadań, wydłużających czas pracy, za to przydzielała takie, które można było wykonać w domu.

Po kilku latach Dobrosława znów zaprosiła swoją szefową na obiad. Dobromiła opowiedziała jej wtedy pewną historię: wiele lat temu, gdy jeszcze była początkującą menedżerką, firma, w której pracowała, miała wakat na atrakcyjnym stanowisku i zgłosiło się wiele kandydatek i kandydatów. W czasie rozmów kwalifikacyjnych na prowadzenie wyszła pewna młoda kandydatka, Ludmiła. Jednak pojawił się kontrkandydat, czarny koń – Zbysław, który błyskawicznie wszystkich oczarował. Nie miał wprawdzie tak wysokich kwalifikacji, jak Ludmiła, ale za to obiecywał wszystkim cuda-niewidy. Gdy go zatrudnią, będzie się uczył języków obcych na własny koszt w prywatnym czasie, będzie pomagał kolegom i koleżankom w trudnych projektach jako wolontariusz, ba, będzie pomagał im nosić ciężkie kserokopie raportów. Uśmiechał się przy tym szeroko i miał okrągłe różowe policzki. Podbił serca całego szefostwa, a najbardziej

oczarował właśnie ją, Dobromiłę, bo zapewniał, że posiada szczególne powołanie do organizowania dokumentacji projektów i robi to zawsze z czystą żywą przyjemnością. Po krótkiej dyskusji zatrudniono Zbysława, a Ludmile podziękowano. „To były dobre, tłuste czasy”, ciągnęła Dobromiła, „człowiek od razu załapał się na prawdziwy etat”.

Jednak Zbysław od pierwszego dnia pracy miał w nosie muchy, a obyczaje wielkopańskie. Nie tylko nie pomagał kolegom i koleżankom nosić ciężarów, ale zaśmiał się im w twarz, gdy poprosili o pomoc w ogarnianiu dokumentów. Właściwie, można powiedzieć, niemal natychmiast zraził do siebie wszystkich współpracowników. Dobromiła przeglądała ze smutkiem podanie i CV Ludmiły, wracała myślami do tej rozmowy i zastanawiała się, co mogła zrobić lepiej i mądrzej, by nie wdepnąć w to, hmm, jak by to elegancko ująć – ekskrementalne grzęzawisko. Tymczasem zaprosiła Zbysława na dywanik. Wyjawiła mu, co myśli o jego stylu pracy i współpracy. Użyła twardej szefowskiej mowy. Zapytała, co miał na myśli, obiecując gwiazdkę z nieba każdemu podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Usłyszała w odpowiedzi: „no co, przecież to była rozmowa kwalifikacyjna, wiadomo”.

„I tak”, zakończyła swą opowieść Dobromiła, „buc wkręcił się do pracy, a porządna osoba została na lodzie. W końcu złapaliśmy go na oszustwie w rozliczaniu wydatków i facet poleciał. Ale Ludmiły już nam się nie udało pozyskać. Więc, wie pani, na takich doświadczeniach uczyłam się, że ludzie kłamią i w dodatku uważają, że to normalne. To nie jest tak, że ja pani problemy ignorowałam. Ja po prostu taka ironistka jestem”.

Dobromiła jest dobra i miła. Chętnie pomaga i wspiera, ale jest ostrożna i nie ufa pracownikom, bo życie nauczyło ją, że zarządzanie korporacją to nie staroświecki mecz w duchu fair play. Wręcz przeciwnie, to raczej wolna amerykanka, tyle że nawet bez zasady o braku zasad – wszyscy czekają na naiwnego uczestnika, który przyjmie grę w dobrej wierze i którego

będzie można, w związku z tym, porządnie oszkapić, okpić i okantować. Ale nie o to chodzi w tym felietonie. Chodzi o coś innego – Dobromiła, podobnie jak bardzo wiele osób, jest ironistką z konieczności i dla mody. Co to właściwie znaczy?

Wcale nie chodzi mi o to, by się wspólnie popastwić nad postacią ironisty autorstwa amerykańskiego filozofa Richarda Rortyego. To postać godna szacunku i wcale interesująca propozycja, zwłaszcza jeśli jest się etosowym liberałem (choć nie jestem takowym, ani, jak podejrzewam, nie jesteś, mój drogi Czytelniku, moja droga Czytelniczko). Postawa ironiczna polega na zachowywaniu dystansu do zjawisk politycznych, intelektualnej gracji zamiast emocjonalnego chwytania haseł, idei i wartości. Taka postawa, zdaniem filozofa, podcina u korzeni totalitaryzmy i autokratyczne systemy opierające się na zniewalającym dogmatyzmie i przekonaniu o absolutnej słuszności jakiegoś jednego punktu widzenia. Ironista ma ciągłą wątpliwość do przekonań oraz, używając języka filozofa, do słowników, których używa. Zdaje sobie sprawę z niekompletności wszelkich słowników – nikt nie jest w stanie z absolutną pewnością udowodnić wyłączności swoich racji. Co więcej, bycie ironistą oznacza trzeźwość umysłu wobec słowników innych – istnieje różnica między słownikami, przekonaniami, a rzeczywistością jako taką. Taka postawa, według Rorty'ego, właściwa jest liberałom, czyli osobom dystansującym się od okrucieństwa. Liberalna ironistka to ktoś rozumiejący, że nie posiada dostępu do „prawdy prawdziwej” i że można budować solidarność między ludźmi wyłącznie na powstrzymywaniu się od przemocy i zniewolenia.

Nie z tą postawą zamierzam dyskutować, bo, jak powiedziałam, sama liberałką nie będąc, mam jednak szacunek dla liberałów etosowych. Drażni mnie natomiast moda na „postawę ironiczną”, panująca wcale nie tylko w naszym kraju od wielu dziesięcioleci, moda mająca swoje źródła w neoliberalnym kapitalizmie i jego perwersjach. Modna postawa to nie tyle niezgoda na okrucieństwo, co zdystansowanie i sarkazm,

heheszkowanie, zbywanie wszelkich kwestii dowcipaśnym komentarzem, wreszcie, pogarda dla wszelkich objawów cudzego zaangażowania, przekonania, oddania. Nawet w środowiskach twórczych i naukowych widywałam takie zachowania, zawsze akcentowane lotną, intelektualną wyższością. Inny zawsze jest śmieszny, kwestia „śmieszne takie” wypowiedana bywa z rozważną, pełną rozkoszy powagą. Najzabawniejsi są oczywiście ci, którzy nie rozumieją „żartów”, nie widzą, że śmiejemy się z nich. Takim prześmichujkom zazwyczaj towarzyszą zimne, trzeźwe oczy. Przecież nawet ironia musi być wykonywana ironicznie, nie można, broń Boże, śmiać się całą gębą.

W czasach dyskretnego uroku postmodernizmu obowiązywało powszechne przekonanie, że ironia wybawi nas przed zniewoleniem, także tym spowodowanym neoliberalną ofensywą. Postawa ironiczna miała zabezpieczyć przed opętaniem obłędem, roznoszonym przez wszelkiej maści zarządcy i ewangelizatorów zyskowności, przed ubiznesowaniem służby zdrowia, korporatyzacją uniwersytetów. Jak w powieści Kundery, nasz żart miał mieć moc wywrotową, tyle że, stosowany na skalę masową i z błogosławieństwem wiodących nas ku świetlanym czasom klas średnich, miał rzeczywiście wstrząsnąć w posadach światem. Tak, ten styl, którego tu używam, to ironia. Może nawet sarkazm. Czegoś się nauczyłam w ciągu tych kilkudziesięciu lat. Nie tylko tego, że ironia absolutnie nic nie wnosi, nie wyzwala, nie zabezpiecza przed zniewoleniem. W neoliberalnym świecie określa kilka charakterystycznych postaw: chęć oszukania innych; lub obawę przed zostaniem oszukanym; lub poczucie wyższości wynikające z cynizmu i braku zaangażowania, sprawiających, że osoba nie ma nic wielkiego do stracenia w świecie. Współczesna ironia to maska. Za jej pomocą staramy się oddzielić od świata, któremu nie wierzymy i którego nie chcemy dopuścić zbyt blisko siebie. I coś w tym jest – ironia nadaje się do roli maski i muru, ale przecież nie tylko.

Ironia pochodzi od starogreckiego słowa eirōneía,

oznaczającego mniej więcej udawanie, że jest coś, czego nie ma lub że nie ma czegoś, co jest. Jest figurą retoryczną przeciwstawiającą to, co na powierzchni zdaje się być czymś innym i to, co w istocie i głębi rzeczywiście jest. Pojawia się jako styl narracji, szczególnie w komediach, ale także w dowcipach i w sarkastycznej reakcji. Ironia może zarówno ukrywać, jak i ujawniać, szczególnie, gdy humor polega na śmianiu się „do góry” z tych, którzy są uprzywilejowani i mają władzę nad innymi. Wreszcie, ironię stosował Sokrates, udając, że czegoś nie wie i nie rozumie, i doprowadzając w ten sposób do ujawnienia jakiejś ukrytej głębokiej prawdy. Ironia wcale nie musi oznaczać zgody na zakłamanie świata, wręcz przeciwnie. Może być wyrazem radykalnej niezgody na fałsz, kłamstwo, bufonadę i chytre rozgrywanie partyjek pokera w ciemno przez zachwyconych sobą królów w negliżu.

Angażuje mnie to do głębi mojego bardzo serio serca, bo jestem przekonana, że istnieje coś takiego, jak prawda. Nie jest ani obiektywna, ani relatywna. Profesor prawa i aktywista społeczny Peter Gabel w swojej książce „Desire for mutual recognition” pisze, że prawda jest tym, co łączy wewnątrz z zewnątrz, więzią społeczną. Powszechna w naszych czasach społeczna alienacja polega na odcięciu społecznego wymiaru człowieka od jego samego, wykreowanie liberalnego podmiotu jako „wolnego i niezależnego”. Tym samym odrywa się osobę od jej prawdy, gdyż prawda jest więzią i rzeczywiście traci się wówczas kompas. Każda oderwana autonomiczna monada unosi się swobodnie w próżni; liberalna społeczność to zestaw odrębnych, samostanowiących jednostek przypominających szybujące balony, z których każda musi kierować się czymś innym, niż moralny kompas (który w tej rzeczywistości nie istnieje): prawem, regulaminem, procedurą, monitoringiem. Nie znaczy to, że zasady są alienujące – Gabel podkreśla, że problem polega na zastąpieniu relacji przepisami w późnym kapitalizmie, na uczynieniu z przepisów czegoś w rodzaju relacji, tyle że z abstrakcyjnymi nakazami, nie ludźmi – a więc relacji zastępczych. Społeczną wzajemność obecności zastępuje sieć

wyalienowanych ról, powiązanych zestawem racjonalnych uwarunkowań.

Wolny rynek oferuje nie tylko mechanizm dystrybucji i wymiany, ale też legitymizacji, uprawomocnienia porządku społecznego, który pozbawiony został autentycznej wzajemności. Już Karol Marks zwrócił uwagę na to, że sprzedawca i kupujący to maski przytwierdzone do aktorów społecznych, przykrywające ich społeczną alienację w kapitalizmie. I tak, jak balony, unosimy się wobec i względem siebie, zamiast istnieć w pełni w obecności Drugiego. Instytucje społeczne w późnym kapitalizmie, w tym także rodzina, stały się inkubatorami alienacji, zauważa Gabel. Tymczasem od narodzin człowiek ma potrzebę być widzianym przez Drugiego w sposób, który w pełni rozpoznaje i uznaje nasze człowieczeństwo i jednocześnie potrzebuje zaoferować Drugiemu takie właśnie uznanie jego czy jej człowieczeństwa.

Gabel jest głęboko krytyczny wobec kapitalizmu i stanu alienacji, w jaki wprowadził on ludzkość, ale nie jest pesymistą. Uważa, że impuls społeczny powoli rozsadza skorupę kapitalistycznego pseudo-społeczeństwa. Widać to choćby w ruchach społecznych, które animowane są tym impulsem niczym żywiołem. Aktywizm rozmraża kapitalistyczny porządek i pali konstrukty mające zastępować więzi. Prawda objawia się w obliczu Drugiego, skomentowałby to, być może, francuski filozof Emmanuel Lévinas. Orientuje nas na niepodważalny nakaz i niezbywalną odpowiedzialność wobec drugiej osoby, przywraca więź, która jest prawdą, wskazuje na to, co jest na zewnątrz, a tym samym pozwala nam odnaleźć to, co w środku – nasze ludzkie serce.

Tak jak Dobromiła odnalazła je bez żadnego wysiłku, siedząc za stołem u Dobrosławy.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl